

# JEAN-PIERRE CABANES

CIAO BELLA



# 1

Osiągnąłem już wiek, w którym chłopcy, odłożywszy do szafy ilustrowane opowieści, takie jak *Corsaro Nero* czy *L'Avventuroso*, zaglądają do *Promessi Sposi*<sup>1</sup> i plując na dłoń, przyglądają włosy, zerkając przy tym do lustra nad umywalką. Krótko mówiąc, byłem już w wieku, kiedy chłopcy zaczynają interesować się miłością.

Mieszkaliśmy z ojcem na jednej z wysp, które odgradzają Sycylię od kontynentu od zachodniej strony, w kamiennym domu zbudowanym własnoręcznie przez jednego z naszych przodków, garybaldczyka, nad samym brzegiem Morza Śródziemnego, na końcu miasteczka. Z jakiegoś powodu, nad którym się wówczas nie zastanawiałem, nie doświadczyliśmy takiego ubóstwa jak inne rodziny rybaków. Mój ojciec miał własną łódź, do której wstawił nowy silnik Diesla z fiata, rocznik 1933, co nie wymagało zbyt wielkich kosztów. Zatrudnił nawet dla towarzystwa niejakiego Giuseppe Cucagna, przymierającego głodem nieudacznika, niepiśmiennego, ale oddanego, który pomagał mu wyciągać sieci. Czerpiąc środki na utrzymanie z rybołówstwa oraz z

---

<sup>1</sup> *Promessi Sposi: Narzeczeni*, słynna powieść o miłości Alessandra Manzoni, napisana w XIX wieku, obecna na stolikach nocnych całych pokoleń włoskich młodzieńców.

winnicy na zboczu wulkanu, ojciec nie miał większej korzyści z Giuseppego, tym bardziej że lubił on sobie wypić. Giuseppe uwielbiał słońce, od którego miał tak poczerniałą i spękaną skórę, że otrzymał przydomek Girasole<sup>1</sup>.

Wiedliśmy spokojne, niczym niezakłócone życie. Nie oczekiwałem żadnych niespodzianek w przyszłości, która wydawała mi się zorganizowana z góry przez życzliwy mi los. Kochany przez ojca, kochany przez Agrippinę Foscari, o której opowiem dalej, kochany przez mieszkańców mojej wyspy, a nawet przez duce, jak czterdzieści milionów Włochów, wiedziałem, że zbliża się najwspanialsze, najbardziej obiecujące w moim życiu lato, kiedy to osiągnę wiek męski.

Nie. Nie wiedziałem nic.

Z Rzymu przychodziły tylko informacje o nowych podatkach i partyjne afisze, które rozwieszał podestata<sup>2</sup> ze zrezygnowaną miną, bo wiedział, że umiejący czytać poprzestaną na trzech liniijkach, gdyż wszystkie publiczne apele wprawiały ich w stan melancholii. Nie miały przy tym żadnej wartości i natychmiast były zrywane przez bezbożne ręce. Papier zaś, na którym afisze były wydrukowane, nadawał się tylko na podpałkę, jak mawiały kobiety w publicznej pralni.

Porfirowe popiersie Mussoliniego z powodu swojej wagi zostało przewiezione przez miasteczko na tym samym wózku, który służył co roku do obwożenia naszej świętej, eskortowanym przez podestata i jego trzech zaufanych ludzi, trzymających na zmianę uchwyty wózka. Popiersie, ustawione przed wejściem do merostwa, witało gości, którzy spoglądali na nie życzliwym wzrokiem, ponieważ nic ich nie kosztowało i w dodatku zasłaniało płamę na ścianie budynku. Ja widziałem w nim podobieństwo do Scypiona Afrykańskiego, którego wizerunek widniał na początku rozdziału o wojnach

---

<sup>1</sup> Słonecznik.

<sup>2</sup> Pierwszy urzędnik w mieście (tutaj, ustanowiony przez reżim faszystowski).

punickich w moim podręczniku do historii. Podzieliłem się tym spostrzeżeniem z podestatem, który uznał to porównanie za usprawiedliwione i z pewnością słuszne. Gdy powiedziałem o tym skojarzeniu ojcu, wzruszył tylko ramionami i spojrzął w niebo poirytowanym wzrokiem.

O matce nie wiedziałem nic, poza tym, że mieszka gdzieś na kontynencie, gdyż ojciec, gdy o to pytałem, pokazywał kierunek równie szerokim co nieprecyzyjnym gestem. Wiedziałem także, że dzieciństwo spędziła w naszym miasteczku. Dowiedziałem się o tym dzięki nauczycielce, która odchodząc na emeryturę, przekazała mi w dowód sympatii śliczny piórnik, mówiąc, iż należał do mojej matki. Jako najlepsza uczennica otrzymała go w nagrodę w 1908 roku, w tym samym, kiedy potężne trzęsienie ziemi zniszczyło Messynę. Ze sposobu, w jaki ojciec wziął do ręki ten przedmiot i otworzył, szukając napisu wewnątrz, domyśliłem się, że go rozpoznał, potem jednak gwałtownie odłożył piórnik na stół i wyszedł z domu, żeby wrócić po jakimś czasie, jak gdyby nic się nie stało. Zdążyłem przedtem znaleźć imię „Luca” wyryte dziecięcą ręką, która musiała należeć do mojej matki. Ale ja znałem tylko jego, jakby zawsze był tutaj ze mną, jakbyśmy zawsze mieszkali na tej wyspie, gdzie wychowywał mnie w cieniu wulkanu, w domu nad morzem, chociaż z wczesnego dzieciństwa zachowałem mgliste wspomnienia innego otoczenia, bo urodziłem się w Rzymie, o czym świadczył zapis w mojej metryce. Tak więc żyliśmy razem, on masywny, siwiejący, i ja potulny, tak wąły, tak drobny, że ludzie z trudem wierzyli, iż jestem jego synem, gdyż przeważały we mnie, co zrozumiałem znacznie później, geny tej nieobecnej.

Wulkan był ogromny, tajemniczy, ale budzący zaufanie. W miasteczku nazywano go Nonno<sup>1</sup>, jakby jego odwieczna, opiekuńcza obecność gwarantowała ochronę przed wrogami

---

<sup>1</sup> Dziadek.

z zewnątrz samym swoim groźnym wyglądem, dzięki któremu widoczny był z daleka dla marynarzy pełniących wachtę, a zbłąkanym statkom służył za punkt odniesienia. Od czasu do czasu, pomrukując i wyrzucając w górę płomień, pokazywał, że nie ucichł na zawsze, że jego wnętrze wciąż pulsuje życiem. Ryczał niczym stary potwór, który ma koszmarne sny, ale za pamięci mieszkańców miasteczka, sięgającej nawet najdawniejszych przodków, nigdy nie wyrządził żadnej szkody. Jeśli zaś idzie o szarą lawę pokrywającą chropawę zbocza góry, pochodziła ona z nieznannej epoki wykraczającej poza pamięć ludzi. Po tamtych antycznych wybuchach wulkanu pozostało jednak kilka plaż, gdzie piasek, chociaż płukany miliardem fal, uparcie zachowywał ten sam czarny kolor ożywiany białą pianą. Było to przymierze, małżeński związek między morzem i wulkanem, z którego zrodziła się nasza rasa wyspiarzy z cechami jednego i drugiego.

To lato, o którym chcę opowiedzieć, lato 1935 roku, poprzedzały decyzje budzące we mnie pewien niepokój, ponieważ nowy rok szkolny miałem rozpocząć nie w szkole w naszym miasteczku, lecz w gimnazjum w Reggio na kontynencie. Władze oświatowe na wyspie — nauczycielka i proboszcz Don Leonardo — doszły bowiem do wniosku, że nie mogą już nic więcej dla mnie zrobić i że powinienem być przekazany w inne ręce, abym nie został jak inni rybakami, na co nie mogą się zgodzić, wzięwszy pod uwagę zdolności, jakie we mnie dostrzeżono. Ojciec także opowiedział się za tym, choć nie przyszło mu to łatwo. Domyślałem się, że na jego postawę wpłynęły wspomnienia z dawnych lat, czego pewne ślady zostały na półkach biblioteczki w formie książek, które albo sam napisał, albo tych, które mu ofiarowano z długimi, wymyślnymi dedykacjami, pochodzących z czasów, kiedy mieszkał na kontynencie — jak sądzę, w Rzymie — zanim wrócił na rodzinną wyspę i został rybakami jak jego ojciec i przodkowie jego ojca.

Do wspólnej pogawędki siadaliśmy najczęściej wieczorami,

a raczej wówczas, gdy nadejście tej pory zapowiadał cień wulkanu prześlizgujący się wzdłuż wybrzeży, a potem rozciągający się na domy, plażę i w końcu na morze. Gdy ojciec wypytał mnie, jak spędziłem dzień, na co odpowiadałem dość wymijająco, mówił mi o połowie, który zaczynał bardzo wczesnym rankiem, kiedy cień odpływał aż do krateru. Potem wygłaszał monolog o sprawach miasteczka, wydarzeniach w Abisynii i o innych historiach, które sobie przypominał, odczuwając bez wątpienia potrzebę opowiadania o nich, a w jego cichym głosie słysząc było żal. Czy naprawdę mówił do mnie? Nie wątpiłem w to, gdyż swoją opowieść przerywał krótkimi zwrotami, biorąc mnie na świadka — rozumiesz, Carlo... — jednocześnie jednak wiedziałem, że zwracał się do kogoś nieznanego, niewidzialnego, zdolnego uchwycić niuanse jego słów. Zresztą, to nieważne. I chociaż sprawy, które poruszał, osoby, które wspominał, były mi obce, pochlebiało mi, a nawet budziło dumę, że zwracał się do mnie jak do równego sobie. Jego zwierzenia, nawet te niezbyt jasne, napełniały mnie szczęściem w tych cudownych chwilach, które poprzedzały rozkoszowanie się nocą, gdy cień wulkanu okrywał już wszystko i błyski z krateru rzucały dalekie refleksy na spokojne morze między porą przyptywu i odpływu.

Rano, po zrobieniu porządku, co należało do mnie w ramach domowych obowiązków, ruszałem wolnym krokiem brzegiem morza w stronę przystani, gdzie stały wyciągnięte na piasek łodzie, a obok nich leżało mnóstwo sieci, które, żeby nie zniszczyła ich sól morską, zmywano silnym strumieniem wody czerpanej z fontanny. Zabierałem się do prac naprawczych, zszywając dziury, łatając drobne uszkodzenia, zanim zrobią się większe. W tym samym czasie inne dzieciaki wypatrywały konturów pierwszych łodzi, tych najskromniejszych, w większości z połatanymi żaglami, często z niewydolnymi silnikami, które nie pozwalały wypływać za daleko.

Każda praca w miasteczku wykonywana była kolektywnie. W poczuciu solidarności wspólnie wyciągaliśmy łodzie na brzeg, potem wydobywaliśmy z ładowni połyskujące, miotające się ryby, wrzucaliśmy je do pojemników wypełnionych lodem, ładowanych następnie na wózki, które robotnicy ze spółdzielni szybko pchali aż na nabrzeże.

Większe łodzie wracały dopiero późnym popołudniem, a ja na nie zwykle czekałem. W porze, kiedy słońce stało najwyżej, kiedy żar jego promieni wysuszał ostatnie krople wody morskiej na burtach łodzi i na rozwieszonych na kozłach sieciach, kiedy od tego żaru wręcz skwierczały pył, piasek i sól w wyżłobionych w bruku bruzdach, o tej porze, kiedy opuszczano w oknach rolety, gdy zwierzęta domowe zaszywały się w miejsca zacienione, w porze, kiedy w miasteczku nic się już nie ruszało, gdy wszystko zamierało w świętym bezruchu, udawałem się na spotkanie z Agrippiną Foscari. Z zuchwałością i zarazem hipokryzją charakterystyczną dla dziewcząt z samego południa Włoch, skazanych na oficjalną dewocję, ośmielających się od dzieciństwa jedynie wyrażać prośby z taką budzącą zaufanie uległością, że usuwała wszelkie podejrzenia, Agrippina po cichu wymykała się z domu i biegła opustoszałymi uliczkami aż do miejsca naszych spotkań.

Często je zmienialiśmy, gdyż za opuszczonymi roletami i zaciągniętymi zasłonami kryły się podejrzliwe spojrzenia ludzi czujnie wypatrujących młodych kochanków, by donieść gdzie potrzeba o ich zachowaniu. Agrippina przybiegała w te upalne dni zadyszana, jej młode piersi unosiły się i opadały pod koszulową bluzką zapiętą na wysokości komunijnego krzyżyka. Zaczynaliśmy się całować, a moje ręce wymacały przez materiał jej jędrne, kobiece krągłości. Płonąc z gorącego pożądania, Agrippina przytulała się do mnie mocno, aż zataczaliśmy się na czarną ścianę osłaniającego nas przedSIONKA.

A potem plątaniną uliczek z kościołami, kaplicami, stacjami

Drogi Krzyżowej i wotami wymykaliśmy się z miasteczka, korzystając z krytych pasaży, żeby znowu się całować, aż na wyboistą drogę prowadzącą na pola, gdzie nie było żywej duszy. Szliśmy zakurzoną drogą, prażeni cichymi promieniami słońca, wspinaliśmy się *schiare del fuoco*<sup>1</sup>, którymi ściekała lawa — być może w epoce, kiedy nad światem panował Rzym. Tam, w połowie zbocza Nonno, przedarłszy się przez labirynt kolczastych krzaków, wślizgiwaliśmy się do grotty, gdzie melodyjnie szemrało źródło. Agrippina wyjmowała z torby kilka pomidorów, trochę owoców, a ja na zaimprovizowanym ruszcie piekłem ukradzione ryby.

Czy mam mówić o chwilach, kiedy kochaliśmy się wprost na czerwonej ziemi w chłodnym cieniu grotty? Już za pierwszym (dla nas obojga) razem szybko odnaleźliśmy naturalne gesty miłości. Z determinacją, która była jedną z najsilniejszych cech jej charakteru, Agrippina wcale mi się nie opierała, jakby ta kilkunastoletnia dziewczyna dokonała już przemyślanego wyboru. Nie minęło wiele czasu i pojąłem, że Agrippina, koleżanka ze szkoły, którą zauważyłem ponad murkiem odgradzającym dziedziniec dziewcząt od dziedzińca chłopców, którą widywałem w kościele, mijałem na ulicy, gdy robiła zakupy dla matki, spotykałem przy okazji częstych świąt, procesji, różnych rozrywek, łącznie z kinem na wolnym powietrzu koło siedziby Fascio<sup>2</sup>, gdzie wyświetlano filmy heroiczne, już dawno temu, choć o niczym nie wiedziałem, powzięła wobec mnie pewne zamiary. Rzecz ciekawa, ale nasza zażyłość zrodziła się dzięki lekcjom łaciny udzielanym przez proboszcza Don Leonarda, człowieka tak niezwykle uczonego, że chyba tylko za karę zesłano go na naszą wyspę. Zamiast rozpalać dusze, martwił się o nasze umysły. Poinformowany o tym, jakie nadzieje pokładali w naszych talentach jej i moi nauczyciele, zajął się nami specjalnie i jeśli

---

<sup>1</sup> Ścieżki ognia.

<sup>2</sup> Zdrobnienie od PNF — Partito Nazionale Fascista.



mogę się tak wyrazić, starał się podnieść poziom naszej wiedzy tak, abyśmy mogli podjąć wyższe studia. Taki był powód lekcji, które z wielkim zapałem prowadził tylko dla nas w niedziele, w sali przy kościele. Przedzierając się przez zawiłości deklinacji, pułapki *ablativus absolutus* i *gerundivum*, szukaliśmy po omacku drogi w opowieściach Cezara o prowadzonych przez niego wojnach, w mowach sądowych Cycerona, w historii Tacyty, w żywotach Swetoniusza i pieśniach Wergiliusza, które stanowiły ukoronowanie naszej nauki. Najdoskonalsza była *Eneida*, zwłaszcza cztery pierwsze księgi, czyli historia miłości Dydony i Eneasza. Musieliśmy żeglować wśród subtelności wiersza i półwiersza łacińskiego, odróżniać daktyl od spondeja i anapestu. Z zapałem je skandowaliśmy, zwracając uwagę na cezury. Uczyliśmy się wszystkiego na pamięć i chętnie potem recytowaliśmy. Musieliśmy także tłumaczyć te teksty i pokonywać związane z tym trudności, borykać się z niepoprawnymi zwrotami, błędami składniowymi, a czasami wręcz brakiem sensu. Krótko mówiąc, nasza miłość zrodziła się przy poznawaniu relacji o straszliwym końcu Troi i nie mniej okropnym porzuceniu Dydony przez niestałego Eneasza. Pewnego dnia, gdy Agrippina uświadomiła mi, że wraz z początkiem nowego roku szkolnego nastąpi dla nas moment rozstania, czego oboje baliśmy się bardzo, wyrecytowałem pierwszy wiersz drugiej księgi:

*Infandum, regina, iubes renovare dolorem*<sup>1</sup>.

A ona z błyskiem w wilgotnych oczach odrzekła słowami kończącymi czwartą księgę:

---

<sup>1</sup> Niewysłowiony ból rozkazujesz mi wskrzeszać, królowo... (Wergiliusz *Eneida*, ks. II, w. 3. Przeł. Ignacy Wieniewski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978).

*Felix, heu, nimium felix, si litora tantum  
numquam Dardaniae tetigissent nostra carinae!*<sup>1</sup>

Tak więc wszystko zostało powiedziane. Te obustronne wyznania wymagały przypieczętowania. Z drzeniem pocałowałem ją w usta, podczas gdy przed nami leżały słowniki i podręcznik gramatyki. Ręką dotknąłem jej piersi. Zamknęła oczy i był to nasz pierwszy miłosny kontakt pozbawiony już niewinności. Zza ściany słyszeliśmy głos Don Leonarda i szmer odpowiadającego mu dziecięcego chóru z okazji nie pamiętam jakiego sakramentu.

W taki to sposób zrodziła się nagle nasza namiętność, z nieodłącznym zmaganiem się ciał, z westchnieniami i skargami, w kościelnej sali, nad poezją Wergiliusza, w wiosnie naszego życia. Skrywana namiętność spadła na nas niczym gwałtowny wybuch starego Nonno w spokojnej godzinie i nic na to nie mogliśmy poradzić. To było fatum, zrządzenie losu zesłane przez bogów Olimpu, któremu poddaliśmy się, którym nie byliśmy zresztą zaskoczeni, ponieważ oboje z Agrippiną byliśmy pogrążeni w atmosferze antycznego świata.

Dlatego w upalne dni lata w 1935 roku wielokrotnie przemierzaliśmy w pośpiechu zboczem wulkanu drogę do grotty. A kiedy była gorsza pogoda, kiedy łodzie rybackie stały przycumowane w porcie, szliśmy na drugi koniec wyspy, na brzeg szarpany gwałtownymi podmuchami wiatru, który wyrwał rosnące tam kolczaste krzewy. Ukryci za skałą, objęci ramionami, przyglądaliśmy się z zachwytem wzburzonemu, ryczącemu morzu. Nadpływające z bardzo daleka szare zwały wody wybrzuszały się i w miarę zbliżania do brzegu rozбивały się o siebie. Rozproszone krople z grzbietów fal opryskiwały nam twarze, a linie białej piany tworzyły przeróżne wzory. I znowu kochaliśmy się nieosłonięci opiekuńczymi ścianami

---

<sup>1</sup> Jakżebym była szczęśliwa, och, gdyby tylko trojańskie statki nigdy do naszych wybrzeży tu nie przybiły (*op. cit.* Ks. II, ww. 652—653).

groty na opustoszałej plaży, przy wtórze huczącego wiatru, wycia morza, podczas gdy szarobiałe kałuże spływały po mokrym piasku aż do naszych stóp.

Wieczorem wracałem do domu i razem z ojcem cieszyliśmy się urokami nocy, podczas gdy on któryś już raz powracał do zwykłych swoich pytań i monologów głosem ochrypłym od nadużywania tytoniu i od wykrzykiwania poleceń marynarzowi Girasolemu, gdy na morzu zrywał się wiatr. Odpowiadałem półsłówkami w nadziei, że te pytania należą tylko do rytuału i że nie oczekuje on ode mnie żadnych bliższych wyjaśnień dotyczących tego, jak spędziłem dzień. Był to błąd z mojej strony, bo często, choć nic nie mówił, domyślałem się z błysku w jego oczach, z ledwie widocznego wykrzywienia kącików warg, że nie wierzy w ani jedno słowo moich wymijających odpowiedzi. Być może czyjeś ochocze języki zdążyły już mu donieść o moich popołudniowych spacerach z Agrippiną, ale nie zdradzał się z tym przede mną z powodu pewnego skrępowania charakterystycznego w stosunkach między ojcem i synem, udając, że przyjmuje w dobrej wierze moje przemilczenia i kłamstwa. Potem to on zaczynał swoje opowieści, wracając do własnych wspomnień, przywołując te same fantomy, które wydawały mi się znajome, jako że mówił o nich już niejedyn raz. O mojej matce nadal nie wspominał, chociaż byłem pewny, bo nie mogło być inaczej, że odegrała istotną rolę w tych historiach. W dalszym ciągu nie wiedziałem, czy wspomnienia te budzą w nim nienawiść czy, przeciwnie, chętnie do nich wracał. Niekiedy z jego ust padały nazwiska ludzi, o których bardzo często mówiono w radiu lub wymieniano na pierwszej stronie „Popolo d’Italia”, takie jak Farinacci, Balbo, Starace, Grandi, Graziani, Guidi i inne, których już nie potrafię wymienić. Któregoś dnia ośmieliłem się zapytać, czy miał okazję zbliżyć się do Mussoliniego. Przytaknął głową, po czym, wskazując na półki, gdzie stały opublikowane przez niego książki, powiedział: „Nie spodobało mu się to, co pisałem o nim, i

dlatego...”. Potem zamilkł, jakby powiedział za dużo nieświadomemu niczego młodzieńcowi. Zrozumiałem, że myślami wrócił znowu do przeszłości, do której ja nie mam prawa wejść. W takich chwilach zaczynałem marzyć o Agrippinie, rozpamiętywać mądre słowa, które usłyszałem od niej tego popołudnia, czułość, jaką mi okazywała w szorstkich gestach pierwszego okresu miłości. A działało się to w porze, kiedy wszystko stopniowo okrywał cień i cichnący plusk morza zapowiadał nadejście nocy.

## 2

Dwudziestego lipca 1935 roku, a raczej w XII roku ery faszystowskiej (tak należało, jak nam wyjaśniono w szkole, liczyć czas, počawszy od października 1923 roku, pierwszej rocznicy „marszu na Rzym” i powołania Mussoliniego na premiera rządu), nastąpiło oficjalne otwarcie siedziby Fascio.

Władze Kalabrii, którym podlegała nasza wyspa, uznały, że skromny lokal merostwa nie odpowiada wystarczająco *vita nuova* i nowym przedsięwzięciom. Dlatego też przyznano subwencję w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy lirów (*importantissima*) przekazaną na ręce Onesima Battisty, podestata, najważniejszego urzędnika na wyspie, aby przystąpił do budowy siedziby, *casa del Fascio*, która nie przyniesie wstydu nowemu reżimowi.

W związku z tym, że nie dało się znaleźć właściwego miejsca, bo miasteczko nasze składało się z nieprawdopodobnej plątaniny uliczek, zdecydowano się na wyburzenie grupy domów, które zdaniem władz groziły zawaleniem się, chociaż stały już od ponad wieku i nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie mogło im coś zaszkodzić. A żeby żaden cień nie padł na doktrynę głoszącą idee społeczne, przeniesiono mieszkańców do innych domów, dając im skromne odszkodowania, które tym starym, ubogim ludziom, niemającym środków na wynajęcie nowych lokali,

wydały się wystarczające. Według „Giornale dell’isola”, brukowca wydawanego raz na miesiąc na koszt merostwa i sprzedawanego po dziesięć centymów, nowa siedziba została zbudowana z „entuzjazmem, zdecydowanie i szybko”. Mieszkańcy, gromadząc się na specjalnie do tego wytyczonym dziedzińcu, który miał w przyszłości stać się *l’arengo della nazione*<sup>1</sup>, obserwowali budowę z sarkazmem, chociaż Battista i jego zwolennicy zapewniali, że „miasto nie wydało na to ani grosza”, świadomi, iż jest to jedyny przekonujący argument, by zamknąć usta wrogom, których było niemało wśród mieszkańców. Battista zresztą nie był złym człowiekiem. Okrągłutki, o pocziwym wyglądzie, z rękami pokrytymi włosami widocznymi spod podwiniętych rękawów koszuli. Był właścicielem jedynej w miasteczku trattorii, dzięki czemu miał stały kontakt z ludźmi. Potrafił udzielić kredytu, postawić kolejkę, w wyjątkowych przypadkach anulować długi. Wybór na swoje stanowisko mniej zawdzięczał sile własnych przekonań, o których mówił półgłosem, niż temu, iż jako pierwszy miał telefon, odkąd założono linię telefoniczną łączącą wyspę z kontynentem. Cieszył się opinią człowieka godnego szacunku, dobrodusznego, raczej nieskłonного do sztywnych publicznych przemówień, które czasami musiał wygłaszać. Tak więc mówił jakby dwoma językami. W kontaktach z mieszkańcami wyspy używał miejscowego dialektu, chcąc utrzymać z nimi więź. Drugi język był przeznaczony dla urzędników w Reggio, którym mówił to, co pragnęli usłyszeć. Z całą pewnością nie można było od niego oczekiwać zbyt dużej subtelności w szermowaniu ideami, a tym bardziej umiejętności analizowania *Eneidy*, z której nie znał ani jednego słowa. Z tego tytułu Agrippina i ja czuliśmy dla tego właściciela podrzędnej knajpy milczącą pogardę, tym większą, że ojciec Agrippiny, jego zastępca, uchodził w miasteczku za

---

<sup>1</sup> Placem zgromadzeń ludu.

wyjatkowo mu uległego. Był to ze strony Agrippiny dowód niezwyklej niezależności w tym, co robiła. Po utracie bez najmniejszego wahania dziewictwa, które w tamtym okresie i w tamtym miejscu uważano za rzecz najważniejszą dla młodej dziewczyny, posunęła się tak daleko, że darzyła wzgardą nawet człowieka, który był przełożonym jej własnego ojca.

Trzeba w tym miejscu przyznać, że nasza sytuacja nie była prosta. Obawialiśmy się, żeby nie wyszło na jaw, iż w tak młodym wieku jesteśmy kochankami. Jej ojciec, Foscari, miał na wyspie wysoką pozycję. Pierwszy zastępca Battisty, drugi w hierarchii lokalnej Fascio, był tak zagorzałym doktrynerem, że powierzono mu *carica di prestigio*<sup>1</sup>, gdy tymczasem mój ojciec, z czego zdawałem sobie dobrze sprawę, nie cieszył się dobrą opinią z tych samych powodów, które zmusiły go do powrotu na wyspę, co wyglądało mniej lub bardziej na wygnanie. Obawiałem się więc tego dnia, kiedy wyjdzie na jaw, że się spotykamy, skandalu, który by temu towarzyszył.

Dlatego też buntowniczy duch Agrippiny zachwycał mnie. Kochając ją młodzieńczą miłością, zmuszałem się do tego, żeby jej dorównać i udowodnić, że jestem jej godny. Podestąd budził w nas tylko skrywane lekceważenie. Przyznawali, że obdarzony jest pewnym talentem, sprytem w manipulowaniu umysłami, w czym okazywał się o wiele zręczniejszy niż Don Leonardo, który przybierał przesadnie ważną pozę *monsignore* usuniętego z Watykanu za brak szacunku dla niezmienności dogmatu i wysłanego między pariasów. Chudy, wysoki, w sutannie o nienagannym kroju przechadzał się z melancholijną, kwaśną miną zapyłonymi, często śmierdzącymi uliczkami miasteczka, nie przypominając w niczym swojego poprzednika, rozmemłanego, serdecznego, pełnego radości życia i lepiej posługującego się lokalnym dialektem z wszystkimi jego subtelnymi intonacjami niż kościelną łaciną. Nikt natomiast nie mógł zarzucić Don

---

<sup>1</sup> Prestiżowe stanowisko.

Leonardowi zaniechania obowiązków, a nadane mu przezwiska, wzięte z nazw warzyw, takie jak *il Cetriolino nero*<sup>1</sup> lub *l'Asparago triste*<sup>2</sup>, nie świadczyły o niechęci względem niego, lecz tylko o tym, jak widziała go tutejsza ludność, lepiej wyrażająca swoje uczucia poprzez spontaniczne porównania niż przemyślanymi określeniami. Bez wątplenia nie był człowiekiem o wesołym usposobieniu, wyglądało nawet na to, że nie jest w najmniejszym stopniu skłonny odpuszczać winy, co wynikało chyba z jego surowego charakteru i doznanych rozczarowań. Kobiety debatowały na jego temat w pralni publicznej, jedne wymyślały najbardziej skandaliczne hipotezy, inne z pewną dozą hipokryzji twierdziły coś odwrotnego, że jest to tajemnica między nim a Bogiem i nikt nie ma prawa się tym interesować. Służąca Don Leonarda, Giuseppina, skądinąd mistrzyni w roznoszeniu wszelakich plotek, w tej sprawie milczała jak grób, jakby złamanie świętej tajemnicy było zagrożeniem dla jej zbawienia.

Z wyglądu przypominała karlicę. Duża głowa osadzona na wątłym ciele spowodowała, że kiedy jeszcze była małą dziewczynką, przewano ją Funghina<sup>3</sup>. Rekompensowała to ostentacyjną wiarą, wyrażaną przenikliwym głosem, z płonącym spojrzeniem ruchliwych oczu na płaskonosej twarzy. Opierała się nakazom, usilnym namowom i mniej lub bardziej jawnym błaganiom, żeby wyjawiała sekret Don Leonarda. Jednocześnie jednak, cały czas twierdząc, iż nic nie wie, mimiką — grymasami, mruganiem oczu, westchnieniami, półuśmiechem, spoglądaniem w górę i nawet robieniem znaku krzyża — dawała do zrozumienia, że wie wszystko, co jeszcze bardziej podniecało ciekawskie kobiety w pralni i podnosiło jej prestiż.

---

<sup>1</sup> Czarny Korniszon.

<sup>2</sup> Smutny Szparag.

<sup>3</sup> Neologizm — dosłownie: mały grzybek.



W wyznaczonym dniu i godzinie, z punktualnością, która była jedną z cech aktualnego reżimu, państwowy kuter *Fascio* z Kalabrii dobił do portu, oczyszczonego na tę okazję z resztek ryb, zgniłych odpadków i licznych śmieci, których zazwyczaj było tam pełno. *Ras* z Reggio (tak nazywano lokalnych działaczy faszystowskich, używając tytułu dostojników etiopskich) i właściciel trattorii Battista przywitani się rzymskim pozdrowieniem, strzelając obcasami, po czym zgodnie z regulaminem uściskali się po bratersku. Następnie *ras* z Reggio i nasz skromny *ras*, każdy z podążającą za nimi w pełnej szacunku odległości świątą swoich zastępców — wśród nich ojciec Agrippiny w ślubnej koszuli przefarbowanej poprzedniego dnia na czarno przez jego żonę — ruszyli w kierunku *arengo della nazione*, gdzie wznosiła się *casa del Fascio*. Zazwyczaj o tej porze napawaliśmy się z ojcem urokami wieczoru, ale tym razem nie chciałem, podobnie jak większość mieszkańców naszego miasteczka, przepuścić okazji, jaką był ten spektakl. Ojciec nie sprzeciwił się ani nie zrobił żadnej uwagi. Drgnął jedynie z lekka, gdy przeczytał w „*Giornale dell’isola*” nazwisko nowego *ras* Reggio, który właśnie objął swoje stanowisko. Mieszkańcy chcieli uformować koło, ale Foscari polecił, aby ustawili się w czworobok, figurę geometryczną lepiej pasującą do męskiego charakteru ceremonii niż krąg, któremu przypisywano cechy kobiece, o czym powiedziała mi na ucho Agrippina, która śledziła ojca i wszystko mi powtarzała.

Pan Foscari nie miał przezwiska. Ci, którzy go nienawidzili, powiadali, że nie zasługuje na przezwisko, bo w jego wyglądzie nie ma niczego oryginalnego. W rzeczywistości był to zatwardziały faszysta, który podczas wojny dzielnie walczył pod Asiago, chociaż nie przywiózł stamtąd żadnego medalu. Na jego wychudłej twarzy malowała się wiara w doktrynę i obsesja na temat własnej godności. W miasteczku nikt go nie lubił, ponieważ rzadko kiedy żartował i nigdy się nie śmiał. Wiedziano, że jest mściwy i bardzo pamiętliwy. Nikt mu nie

zazdrościł, bo był tak samo ubogi jak inni, nie miał nawet własnej łodzi i pracował w spółdzielni rybackiej, żeby mieć z czego wyżywić potomstwo już ofiarowane narodowi.

Po kolejnych rzymskich pozdrowieniach właściciel trattorii Battista wspominał w swym przemówieniu, że echo chwały narodowej dotarło aż na naszą wyspę, która ma obowiązek okazać się godna takiego zaszczytu. Na tę okazję użył szorstkiego języka włoskiego, jakże dalekiego od łagodnej tonacji tutejszego dialektu. Chociaż tembr jego głosu został zniekształcony przez głośniki, brzmiał sucho i władczo, bez śladu przymilności kupca. Ras z Reggio wyjął z namaszczeniem z podanego mu podłużnego pakunku pęk różg z siekierami, który zatknęto nad bramą wejściową, podczas gdy zastępcy zaintonowali fałszywie hymn *Giovinezza*.

*Sono giovane e son forte,  
non mi trema in petto il cuore:  
sorridente vo alla morte  
pria d'andare al disonore!*

*Giovinezza, giovinezza,  
primavera di bellezza:  
nel fascismo è la salvezza  
della nostra libertà.*

(Jestem młody i jestem silny,  
Serce nie drży w mojej piersi:  
Wolę umrzeć z uśmiechem,  
Niż żyć w hańbie!

Młodość, młodość,  
Wiosna piękna:  
W faszyzmie ocalenie  
Naszej wolności).

Pieśń tę zagłuszyła miejscowa orkiestra dęta, która zaczęła grać mimo protestujących gestów Battisty. Ras z Reggio, Corrado Matamini, wyjaśnił symboliczne znaczenie różg liktora, wzięte bezpośrednio ze starożytnego Rzymu, gdyż w tym wyrażał się autorytet władzy Republiki Rzymskiej, a potem Cesarstwa, która obecnie znajduje się w rękach duce, dobroczyńcy narodu. Uzasadnił także obecność *torre littoria*<sup>1</sup> wyposażonej w dzwony, które mają bić z okazji faszystowskich świąt.

W przeciwieństwie do Battisty nie musiał czytać przemówienia, które wygłaszał, swobodnie improwizując, był bowiem człowiekiem nawykłym do wystąpień i zabierania publicznie głosu. Mieszkańcy miasteczka słuchali go z tym samym udawanym szacunkiem i uwagą, jakie okazywali w kościele. W rzeczywistości nie przyszli tutaj, aby dać świadectwo swojej uległości wobec władz z Rzymu czy z Reggio, jako że problem ustroju Włoch, ambicje kolonialne duce czy renesans cesarskiej chwały były im całkowicie obojętne — nie mieli większych nadziei, że zmieni się od tego ich codzienna egzystencja. To, co ich interesowało naprawdę i co uznali za warte przybycia, to przewidziany po zakończeniu ceremonii bankiet, podczas którego zamierzali się uraczyć podawanym za darmo jedzeniem i piciem.

Wyciągnęli z łóżek żwawych jeszcze staruszków i nie wahali się opóźnić pory spania dzieciaków, nawet dotkniętych kokluszem, ospą czy świnką, krótko mówiąc, tymi wszystkimi chorobami, które przysparzały fortuny konowalom leczącym w miasteczku biedniejszych mieszkańców i rujnowały bezpłatną przychodnię dla tych, którzy nie mieli naprawdę nic. Niektóre kobiety, przekonane, że na pewno zostaną jakieś resztki, zaopatrzyły się w koszyki, a ich mężowie w puste butelki na wino. Niestety Matamini, ras Reggio, przedłużał swoje przemówienie, mówiąc o wyzwaniach

---

<sup>1</sup> Wieży liktora.

rzuconych ze strony zuchwałej Afryki i o twardej konieczności położenia temu kresu przez energiczne działanie całego narodu.

Czworobok słuchaczy, uformowany w tym miejscu wcześniej na polecenie Foscariego w ślubnej koszuli przefarbowanej na czarno, zaczynał się chwiać, a w każdym razie tracił swój szyk, tak idealny na początku. Widać w nim było falowanie w kierunku długich stołów, które faszyci z Kalabrii właśnie ustawiali na obrzeżach *arengo della nazione*. *Ras* Reggio z pewnością zauważył, co się dzieje, bo nagle zakończył swoje wystąpienie rytualnym okrzykiem: *Viva l'Italia! Viva il Duce!*

— Niech Bóg błogosławi naszemu duce! — odpowiedzieli chórem mężowie, żony, wiekowi starcy i nagle ozdrowiałe dzieciaki, po czym pospieszyli do stołów, podczas gdy miejska orkiestra dęta zagrała przeznaczony na takie okazje podniosły utwór.

W tym momencie w wolnej przestrzeni powstałej po rozsypanym już czworoboku pojawiła się sylwetka, której nie rozpoznałem od razu. Mój ojciec! Miał na sobie długie buty, spodnie do konnej jazdy i czarną koszulę. Nigdy przedtem nie widziałem tego uniformu, a widoczne na nim zagniecenia świadczyły o tym, iż prawdopodobnie długo leżał w kufrze. Na koszuli lśniło więcej orderów wojennych i Fascio, niż ich miał *ras* Reggio. Corrado Matamini na widok mojego ojca drgnął i szybko do niego podszedł. Za nim podążyli Battista i Foscari z pierściami niczym nieozdobionymi. Ojciec i *ras* Reggio uścisnęli się w szczerzy i pozbawiony oficjalności sposób, niczym nieprzypominający powitania w porcie Battisty. Po wymienieniu paru słów, których w rozgwarze bankietu nie dosłyszałem, odeszli na bok.

Było to pierwsze przypomnienie przeszłości mojego ojca z okresu, kiedy mieszkał w Rzymie, zapewne z moją matką, i kiedy był przyjacielem człowieka, który miał zostać potem *ras* Reggio. Nie zobaczyłem już nic więcej, bo Agrippina

odciągnęła mnie w cień, a w tamtym czasie nie uchylałem się przed żadnym z jej rozkazów.